

171  
**P**AMIĘTAM JESZCZE, JAK ZYGMUNT LATOSZEWSKI inaugurował w lutym 1945 działalność Filharmonii Krakowskiej — zaledwie w dwa tygodnie po ucieczce Niemców, gdy wojna toczyła się o niepełna dwieście kilometrów od miasta, a koncerty rozpoczynały się o 15.30, bo obowiązywała godzina policyjna. Pamiętam również, jak we wrześniu 1945 otwierał z kolei Operę Krakowską świetnym spektaklem „Traviata” z Ewą Bandrowską-Turską i Wiktorem Bregy... Dawne to były czasy, lecz odnalazłem je w pamięci w dniu jubileuszu nestora polskiej dyrygentury: Latoszewski ukończył 90 lat, a że ukończył je w doskonałej formie, nadal kontynuując kapelmistrzowską karierę, w Teatrze Wielkim urządzono mu z tej okazji zasłużoną fetę.

Praca na dyrygenckim podium rzadko kończy się w ustawowym wieku emerytalnym: Pierre Monteux dyrygował jeszcze mając 89 lat, Otto Klemperer — 88, Toscanini — 87, Bruno Walter — 86. Ale Zygmunt Latoszewski ma właściwie tylko jednego rywala w Księdze Rekordów Guinnessa: Leopolda Stokowskiego. Podobnie jak Latoszewski, działał na dyrygenckim podium przez 65 lat, i tylko on jeden — jak na razie! — wycofał się z aktywnej działalności po ukończeniu 91 roku życia; wszystko jednak wskazuje na to, iż mistrz Latoszewski bez trudu pobije ten rekord. Obaj zresztą dyrygenturą zajęli się nie od razu: Stokowski, zanim ujął w rękę batutę, przez wiele lat pracował jako organista, dr Latoszewski zajmował się publicystyką i krytyką muzyczną. Przez większą część życia związany był z Poznaniem — tam się urodził, studiował, debiutował, tam objął pierwsze stanowisko dyrektorskie, dopiero później pracował w innych miastach, kolejno: w Krakowie, Warszawie, Gdańsku i Łodzi. Obecnie dyryguje w Teatrze Wielkim w stolicy, prowadząc spektakle „Traviaty”, „Hrabiny”, „Madame Butterfly”.

I właśnie „Butterfly” wybrał na uroczysty wieczór jubileuszowy, 26 kwietnia, dokładnie w dniu swych 90 urodzin. Jubileusz rozdzielono zresztą na dwie części — rano odbyło się spotkanie z Jubilatem, wspomnienia dyrektorów teatrów operowych, które Latoszewski po wojnie otwierał, okraszane występami gwiazd z tych teatrów i, oczywiście, z Warszawy: Barbary Zagórzanki, Teresy May-Czyżowskiej, Zdzisławy Donat, Anny Malewicz-Madey, no i Andrzeja Hiolskiego, który na zakończenie spotkania bardzo pięknie zaśpiewał *Gdybym był młodszy, dziewczyno...* A wieczorem — spektakl i jubileuszowa fetę: liczne depesze i listy gratulacyjne, począwszy od listu od prezydenta RP, Lecha Wałęsy, aż po list prezesa ZASP-u, Andrzeja Łapickiego. Zadziwienie, by nie rzec zawstydzenie, budził natomiast fakt, iż z życzeniami nie pofatygowano się ani Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków, ani Związek Kompozytorów Polskich, ani Filharmonia Krakowska, której Latoszewski był założycielem i pierwszym dyrektorem, ani władze miasta Warszawy, choć przecież Latoszewski tak wiele uczynił dla podniesienia kultury muzycznej tego miasta. No cóż, muzyczną podniósł, ale kultury w ogóle jak gdyby nadal brak.

Co do mnie, wspaniały panie Zygmuncie, to w pierwszej kolejności życzę, aby bez większego wysiłku pobił pan rekord Stokowskiego, a potem — już ze spokojną głową, że nikt panu nie dorówna — działał jeszcze przez wiele, wiele lat!

A w ogóle, to trzeba powiedzieć, iż muzyka zdominowała ostatnio artystyczne życie stolicy. Teatry dopiero czają się z nowymi premierami na ostatnie dni maja i początek czerwca, zatem o nich — w następnym wydaniu Kuriera, a dziś zaledwie jedną tylko — lecz za to z satysfakcją — chciałbym odnotować: przekładany od dłuższego czasu w powodu chorób aktorów „Rozbity dzban” Kleista w Teatrze Małym. Ten arcsympatyczny teatr w samym centrum Warszawy, od początku swego istnienia (czyli od lat blisko dwu-

dziestu) pomyślany jako kameralna scena Teatru Narodowego, po perypetiach związanych z Narodowym stał przez długi czas nie wykorzystany i dopiero teraz przejęty został przez Teatr Współczesny. Właśnie „Rozbity dzban” w reżyserii Macieja Englerta i z zespołem Współczesnego dano na inaugurację tego nowego mariażu.

Heinrich von Kleist, jeden z najwybitniejszych pisarzy niemieckich przełomu XVIII i XIX wieku (w roku 1811, mając 34 lata, popełnił wraz ze swą przyjaciółką samobójstwo), znany jest głównie z dwu dramatów („Książę Homburg” i „Kasia z Heilbronn”) i tej jednej komedii o rozbitym dzbanie. Znany zresztą nie u nas, gdzie grywany jest rzadko, a byłby zapewne jeszcze rzadziej, gdyby nie przypominały go od czasu do czasu gościnne występy niemieckich teatrów. „Rozbity dzban” widziałem po raz pierwszy przed czterdziestu laty w znakomitej, choć może zbyt naturalistycznej wersji Brechtowskiego Berliner Ensemble, później, po latach, dowiózł go do nas także berliński Deutsches Theater, już w słabszej obsadzie i inscenizacji, w gruncie rzeczy jednak jest dla

## KURIER WARSZAWSKI

Rok XXV. Nr 5 (261).

Maj 1992.

**Latoszewski skończył 90 lat — nasze gratulacje! ● Rekord Stokowskiego w zasięgu ręki (z batutą w dłoni)... ● „Rozbity dzban” z kreacją Michnikowskiego ● Światowe Dni Muzyki — wielka impreza po raz trzeci w Warszawie!**

nas ta klasyka po trosze nudną ramię, tak jak zapewne ramię wydaje się Niemcom każda z komedii Fredry.

Zastanawiałem się więc, dlaczego Maciej Englert przypomniał właśnie tę sztukę. Czy dlatego, że „Rozbity dzban” mówi o korupcji i nadużyciach prowincjonalnej władzy, co jest tematem zawsze u nas na czasie? Czy dlatego, że otrzymał nowy, świetnie brzmiący ze sceny przekład Jacka St. Burasa? Po obejrzeniu przedstawienia doszedłem do wniosku, że chyba głównie dlatego, iż ma w zespole Wiesława Michnikowskiego. W wielkiej, doskonale napisanej roli wiejskiego sędziego Adama, Michnikowski dał koncert gry nieczęsto oglądany na naszych scenach. Opracował rolę w najdrobniejszych szczegółach — w mimice, w geście, a przede wszystkim w wybornym podawaniu tekstu zachwyca siłą komiczną, nie przerysowując postaci, eksponując z pewną pobłażliwością dla słabości sędziego jej komizm, a nie abominacyjność (jak czynił to choćby Erwin Geschonneck w teatrze Brechta). Druga znakomita rola tego przedstawienia, to Marta w wykonaniu Zofii Kucówny, a z pozostałej obsady trzeba wymienić przede wszystkim Henryka Bistę (pozyskanego z Gdańska dla Warszawy), Joannę Jeżewską i Marcina Trońskiego. Maciej Englert bardzo stylowo, bardzo sprawnie wyreżyserował całość, może tylko niepotrzebnie jednoaktową komedię przeciął przerwą, łamiąc nieco dobry rytm przedstawienia.

O pozostałych premierach dopiero — jak wspominałem — za miesiąc, natomiast dziś jeszcze kilka słów o wielkiej międzynarodowej imprezie muzycznej: o Światowych Dniach Muzyki, festiwalu zorganizowanym przez Polskie Towarzystwo Muzyki Współczesnej na rzecz Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej (ISCM). To towarzystwo zrzesza około 40 sekcji krajowych w całym świecie, i co roku — co roku w innym kraju — organizuje takie festiwalowe przeglądy kompozytorskich nowości. Program ustala w zasadzie międzynarodowe jury, kierując się pewnymi ściśle określonymi zasadami (np. żaden kraj nie może dominować w repertuarze, żadnego też nie powinno się pominąć — żadnego spośród zrzeszonych w ISCM). Napisałem: „w zasadzie”, ponieważ 30% repertuaru ma prawo zarekomendować komitet organizacyjny

kraju, w jakim festiwal się odbywa i ten kraj może mieć (byłe nie przesadne) pewne preferencje repertuarowe.

W Polsce festiwale ISCM odbywały się już dwukrotnie, zawsze w bardzo niedogodnych sytuacjach politycznych: po raz pierwszy w roku 1939, kiedy spodziewano się już wojny i sporo krajów zrezygnowało lub ograniczyło swój udział, po raz drugi — jesienią 1968, tuż po inwazji na Czechosłowację, kiedy z kolei wiele krajów zbojkotowało festiwal ze względu na nasz udział w najeździe na sąsiadów. No, ale że — jak się to mówi — do trzech razy sztuka, jest realna szansa, iż tego festiwalu nie zakłóca żadne nieprzewidziane komplikacje.

Natomiast z tego poprzedniego, bojkotowanego święta współczesnej muzyki pozostał mi w pamięci szczególnie jeden koncert: Zygmunt Krauze i John Tilbury grali utwór Mortona Feldmana na dwa fortepiany — mało ciekawy, lecz za to przerażająco długi. Publiczność z trudem to wytrzymała, wreszcie zaczęła się buntować: przerywała grę oklaskami i wychodziła (zarówno z siebie, jak i po prostu z sali), co z kolei poirytowało wykonawców. Tilbury wstał i — krótko mówiąc — wymyślał publiczność, dając do zrozumienia, że jeśli ktoś nie umie docenić muzyki awangardowej, niech lepiej siedzi w domu; na szczęście wymyślał po angielsku, więc nikt się nie obraził, natomiast było śmiesznie.

Zapewne zapamiętał sobie ten koncert także Zygmunt Krauze, dziś prezes polskiej sekcji ISCM i przewodniczący jury tegorocznego festiwalu. Na konferencjach prasowych i w wywiadach poprzedzających Światowe Dni Muzyki stale bowiem podkreślał, iż w tym roku jury tak dobierało utwory, aby mogły spodobać się publiczności, aby nie odstraszały ludzi od muzyki współczesnej, lecz przeciwnie — by przekonały ich o tym, że współczesnych utworów nie tylko można słuchać, lecz nawet można je polubić. Czy jednak jego poglądy na to, co da się lubić, a co nie — zsynchronizowały się z poglądami słuchaczy?

**Gdy** piszę te słowa, festiwal dopiero się zaczyna — do inauguracyjnego koncertu wyszedł na podium dyrygenta Stanisław Skrowaczewski, przy fortepianie zasiadła Ewa Pobłocka, a śpiewać ma już za chwilę Elżbieta Towarnicka. Skrowaczewski... Mój Boże! Tego nie da się załatwić jednym zdaniem; gdy zobaczyłem go na estradzie, znów przypomniały mi się dawne krakowskie czasy i wywiad, jaki przeprowadzałem z nim dla „P.”, kiedy to Skrowaczewski wygrał konkurs dyrygencki w Rzymie i zarobił swój pierwszy milion — milion lirów nagrody. Wyznał mi wtedy, że za wszystko kupił płyty i partytury, jako iż były to wówczas rzeczy w kraju nie do zdobycia. Ale gdy spojrzełem na milionera z pewnym niedowierzaniem, dodał, że może nie tak całkiem wszystko przeznaczył na te pomoce naukowe, że wystarczył mu ten milion także na Fiata 1100 — pierwszy własny, przyzwoity samochód...

Kiedy to było? Trzydzieści sześć lat temu. Dziś Skrowaczewski jest dyrygentem o światowej renomie, mieszka w pięknym domu pod Minneapolis, skąd wyrusza na występy dosłownie w całym świecie; dyrygował na festiwalu w Salzburgu, prowadził „Czarodziejski flet” w Metropolitan Opera, miał pod swoją batutą najlepsze orkiestry świata: Filadelfijską, Berlińskich i Wiedeńskich Filharmoników, New York Philharmonic, Cleveland Orchestra, itd., itd. To wspaniałe, że mogliśmy go oklaskiwać także i w Warszawie — Światowe Dni Muzyki rozpoczęły się dzięki niemu prawdziwie pięknym akcentem.

Ale o tym, jak potoczyły się dalej, to już w następnym Kurierze...

**LUCJAN KYDRYŃSKI**